

1. Książka dla Pana najważniejsza, to...

W ramach zabezpieczeń — myślę, że niepotrzebnych — w takim przypadku nasuwają się czasem słowa: „nie będę oryginalna/y, kiedy powiem...”. Chyba, że ktoś ma bardzo osobistą a nietypową książkę „najważniejszą”. Wtedy wystrzeliwuje tytuł, wprowadzając środowisko w zakłopotanie: jedyne dla kogoś dzieło, a ja nic o nim nie wiem. Tymczasem oryginalność lub jej brak nie mają tu, sądzę, nic do rzeczy. Liczą się (poza)światy tekstowe.

W kategorii „naj” — wielkich konstrukcji olśniewających lub otulających powagą, nie tylko zaś na teraz — mam zwyczajnie *Biblię* oraz to, co od umownego wczoraj i współcześnie z niej wyrasta w pokłosiu, egzegezach, księgach wszelakich, rozwidleniach literaturoznawczych. Co jest najciekawsze, przynajmniej dla mnie. Co wypieka się okazałe również z chleba odświeżonego i powszedniego religii innych. Na szarości, smutki i zarazem dla bieżącej potrzeby mam więc — od razu podlatując do punktu 5, by się upewnić, że skończę ankietę — sprezentowany niegdyś przez córkę zbiorok *Dziś jest dzień Pański. Rozważania na każdy dzień* (przeł. J. Iwaszkiewicz, Poznań 2000) belgijskiego karmelity i doktora filozofii Wilfrieda Stinissena. Jako ciekawostkę, na poważnie, mam przywiezioną z Pekinu *Biblię* chińskojęzyczną, z której co prawda rozumiem jedynie pojedyncze znaki/słowa; z tego samego egzotycznego źródła biorę na odegnanie Smętka książkę Henri Brunela, *Uśmiech Buddy. Humor zen* (przeł. M. Pluta, Warszawa 2004). Z macierzystej dawności są to dziewiętnastowieczne czytała, dawne modlitewniki i wybory modlitw posklejane przed całkowitym rozsypaniem się; rozmaite księgi święte lub czymś uświęcone, najbogatsze zawartością, np. zasobne w teksty Teofila Lenartowicza, Adama Mickiewicza, Juliana Niemcewicza, Józefa Zaleskiego.

Pośród dzieł naukowych, nieraz biegnących daleko i w różne strony od wspomnianego źródła, wyniknęło przydatne na rozpoczętą pracę badawczą czytanie Antoniny Lubaszewskiej *Poetyki doświadczenia duchowego. W stronę antropologii form literackich* (Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009), a na okoliczność innego aniżeli trendy spojrzenia na reaktywujący się darwinizm lektura niewielkiej książki abpa Józefa Życińskiego, *Bóg i stworzenie. Zarys teorii ewolucji* (Lublin 2011), traktującej o związku między chrześcijańską wizją rozwoju człowieka a biologiczną koncepcją ewolucji naszego gatunku.

* Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny, Katedra Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski.

2. Jakie pozycje lekturowe były dla Pana w ostatnim czasie szczególnie istotne?

„Szczególnie istotne” to może nie tak powiedziane, jak chciałbym dla rozwarcia się furtki właściwej. Ale „nic to!”. Z zainteresowaniem przewertowałem książki pomagające nieco lepiej poznać funkcjonowanie twardego dysku osobistego (mózgowego) i jego pochodnych, uwikłań i determinant, np. takie: D. Draaisma, *Fabryka nostalgii. O fenomenie pamięci wieku dojrzałego* (przeł. E. Jusewicz-Kalter, Wołowiec 2010); *Granice i ograniczenia. O doświadczaniu granic i ich przekraczaniu* (pod red. M. Szulkiewicza. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2010); Ch. Frith, *Od mózgu do umysłu. Jak powstaje nasz wewnętrzny świat* (przeł. A. i M. Binder, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2011).

Istotne były dla mnie ostatnio, w różnych wymiarach poznawczego i praktycznego zaambarasowania, niektóre książki/wydawnictwa poświęcone kulturze dalekiego Wschodu i dokumentujące aktywność tamtejszych środowisk: (ze staroci) W. Stephen, W. Bushell, *Chinese Art* (vol. 1–2, London 1911) – dla śledzenia imperialnego wątku ubocznego o świetnie „przyswojonych” (zagrabionych) zbiorach; (z nowszych publikacji) książka Rany Mister, *Gorzka rewolucja. Zmagania Chin z nowoczesnym światem* (przeł. T. Białogórski, Warszawa 2008) – o pierwszej chińskiej rewolucji prawdziwie kulturowej z 1919 roku, a także „Chinese Journal of European Languages and Cultures” (volume VI, Beijing 2011), gdyż biorę w tym udział redakcyjny i autorski.

3. Do jakich książek Pan powraca?

Nieczęsto, poza obowiązkami, wracam do całości (zob. jednak punkt następny). Raczej ponawiam czytanie fragmentów (zob. punkt 1) z wybranej prozy, poezji, dramatu. Jeszcze bowiem na dysku osobistym nieźle zapisuje się to, co warte pamięci lub będzie potrzebne na okazję niewiadomą. Tak myślę z wygodnictwa i chęci szukania nowych czytelniczych przygód.

Czyżby w tym może punkcie utajniły się pytania niewysłowione do końca w punkcie 1? W ankietach czytelniczych doszukujące się książek, jakie zmieniają, a przynajmniej nieco odmieniają życie, one mogą bowiem skłaniać do nawrotów. W czasach studenckich miałem takie dzieła (np. Lwa Tołstoja), które zostawiały niestarzące się rysy. Szybko się natomiast skończyły moje powroty, jako deziluzyjne, do lektur jeszcze wcześniejszych.

Przypuszczam, że tutaj należałoby wskazywać książki wielorako i *usque ad finem* nas kształtujące, hartujące, oddalające od szarżyzny i zjawisk nieprzyjemnych, jak też pozwalające podnosić się mimo wszystko, mimo utrapień, może jednak do czegoś potrzebnych. Zalecałbym wtedy, przynajmniej sobie, powrót do książek z punktu 1, a na relaks – wycieczkę do lektur z punktów 4 i 5.

4. Po jakie książki sięga Pan, by odpocząć?

Nigdy nie odpoczywam przy pierwszym spotkaniu z książką upatrzoną, zwiastującą niespodziankę, niecierpliwie wyczekiwaną, poszukiwaną w antykwariatach. Bo najpierw działa jak narkotyk, podnosi ciśnienie i tak wysokie. Ponawianie lektury i świadomość podręczności książki-wybranki dają większy spokój, przechodzący w chwilę odpoczynku. Takich znalezisk już się trochę uzbierało, ale nadal lubię być poszukiwaczem, wprost myśliwym. W okresie PRL-owskim wiele lat i bezskutecznie uganiałem się za własnym egzemplarzem rozprawy Johna Stuarta Milla *O wolności*. A to przez wspomnienie studenckich zajęć z 1968 roku, na których wykładowca przeczytał z niej fragmenty jako komentarz do wydarzeń na zewnątrz. Zniknął potem na jakiś czas.

Odpoczynek i spokój dają mi, na dodatek empatycznie i ucząc pokory, a wyciszająco — gdy opór na nic już się nie przyda — wybitne kicze i płody grafomańskie lub ewidentnie postarzałe, niemal doskonale w swym profilu, w samozachwycie nad zupą z gwoźdźcia, jednak niebezpieczne i niekiedy wysoko szacowane; przejawy zarazem dużych aspiracji i bezwiednej słabości, zamiarów innowacyjnych, lecz w realizacji chybionych, niedokrwestych. W tym się mieszczą książki naukowe, terroryzujące dreszczem ostatniej nowości, ale starzejące się tak szybko, jakby nigdy młode nie były. Żadnej z tytułu nie wymienię. Co do dawnych książek, niech to będzie tajemnica historyka literatury, do wyjawienia przy okazji. Z nowszych i najnowszych — przenigdy. Nie wejdę w trzęsawisko, jak niegdyś Jerzy Paszek, który pisząc *O starzeniu się tekstów literaturoznawczych* („Teksty Drugie” 1990, nr 5/6), zamieścił w *Aneksie* listę „żywothnych tekstów literaturoznawczych” z lat 1965–1966. Niejeden szukający był zawiedziony.

Odpoczywam, czytając z lekturowego głodu — spontanicznie, niefrasobliwie, „bez programu”. Takiego hasła używał dziewiętnastowieczny lekarz Tytus Chałubiński do tatrzańskich wycieczek, na pozór niezaplanowanych, niewidzialnie przygotowanych, zachowujących nieprzewidywalność? Czy tak można bezpiecznie chodzić po górach? Wycieczki i lektury pod lotnym wezwaniem „bez programu” oznaczałyby przecież otwarcie się, refleksji i wrażeń, na rozmaitość stworzenia; poddanie się urokowi chwili lub pobudki, przy pewnej lekkości bytu — nieodczuwalnym ciężarze zobowiązań.

Z takich rzutów nietrudzącego zaciekawienia bywa to dla mnie, poza nieciężką nawałnicą pism literaturoznawczych, lektura periodyków młodzieżowych i kobiecych. Przydatna o tyle, że studentami polonistyki są przeważnie kobiety. Warto spojrzeć na ich świat, markując zrozumienie lub po prostu z życzliwości.

Są to również świeże antykwaryczne nabytki, nie takie rarytasy jak wymienione wcześniej, okazy mniej ekscytujące, spokojnie wciągające, szukające uzasadnień w rozpieczętych zainteresowaniach i do umiejscowienia na półce. Mogą być z przedziału — jak niedawno, właściwie teraz — od

przeszłościowej chemii codzienności do pasjonackiej, niezbyt wprawnej historiografii i polityki (nie można od niej uciec, ale wolę dawniejszą, na której lepiej się znam): dr Lasar-Cohn, *Chemia życia codziennego* (przeł. M. Stępkowski, przedmowa J. Ochorowicz, t. 1–2, Warszawa 1900); [A. Młocki], *Krótki rys walki zasad Europy* (wyd. II, Lipsk 1870). Tę drugą lekturę jednak zdyscyplinowałem; metodologicznie – antologią myśli anglosaskiej *Teoria wiedzy o przeszłości na tle współczesnej humanistyki* (pod red. E. Domańskiej, Poznań 2010) i à propos wiedzy historycznej przekuwanej w literaturę – napisaną przez autorkę z młodszego polonistycznego pokolenia, Iwonę Gosik-Kapelińską, książką *Historia dramatem pisana. Dramat historyczny w epoce pozytywizmu* (Kraków 2011). Próbowałem coś innego dobrać z nowoczesności, ale peryskopowa perspektywa znad kanikułowej mielizny wskazywała sadzawkę.

Takie odpoczynkowe zestawy lektur bywają u mnie dość karkołomne, ale w górach też czasem jest niełatwo i niezwykajnie. Na to trzeba być niewidocznie przysposobionym. A więc czytanie „bez programu”, traktowane literalnie, to lekka bujda, autofikcja.

Dla ojcowskiego odpoczynku przeczytałem wreszcie, kając się za niewczesność, tomik *Jestem Twoją Zuzią* (PAX 2011) bliskiej sercu rodzicielskiemu poetki. Nastąpiło to, niestety, dopiero przed szpitalnym zabiegiem operacyjnym, ale zadziało.

Wakacyjną otuchę stąd płynącą, że nie tracę kontaktu z poezją ultranowoczesną, czerpałem tłumacząc szereg wierszy – na polszczyznę oczywiście, bez światłocienia – pewnemu chińskiemu poloniście. Całą galerię poetów poznawałem z drugiej (chińskiej) ręki i poprzez istne górskie rozpadliny. Ale była obopólna radość, że mniej więcej wiemy, o co autorowi chodzi. Mimo dużej translatorskiej wprawy Chińczyk miał spory kłopot z przekładem tych utworów. Rozbawiał mimo woli i tylko mnie, gdy z racji np. frazy egzystencjalnej: „czym jest mój dramat przy dramacie Smerfetki, która spędziła całe życie sama w mieście samych mężczyzn”, zapytywał mejlowo: „Kto to jest Smerfetka, czy jest to dramaturgiem, kiedy ona żyła?”.

5. Co poleciłby Pan do czytania na dni szare i smutne?

Leczyłbym smętki Hańskowymi *Przygodami dobrego wojaka Szwejka*, w dawkach umiarkowanych, po jednej przygodzie cywilnej lub wojennej. Bo finezyjną poczciwością udobruchają nawet pacyfistę. Są takie niemilitarne, choć na temat dość krwawej I wojny. Nikogo i niczego nie unieszkodliwiają, poza miałością życia i obłudą; czynią pokój na gruzach. I dlatego, że mają wspańnię uosobienie tytułowe (Rudolf Hrušínský) w zamierzchłej dwuczęściowej komedii czeskiej: *Dobry wojak Szwejk* (1956); *Melduję postuszenie* (1957).

Nieleciwym i niechcącym popaść w przygnębienie po reklamach zalecających, przeważnie ludziom młodym i nieźle wyglądającym przed nabyciem antidotum, cudowne specyfiki na wzdęcia, niestrawność i domniemane zmarszczki, zalecałbym lekturowe eliksiry młodzieżowe albo wprost dziecięcości,

przewlekłe w nas drzemającej. Nawet staromodnej, bo współczesną znam jedynie dzięki wnuczkom, takie jak: B. Hertza, *Ze wspomnień Samowara*; J. Brzechwy; *Akademia pana Kleksa*; K. Makuszyńskiego, *Bezgrzeszne lata*; E. Niziurskiego, *Sposób na Acybiadesa*. W sytuacji beznadziejnie szarej radziłbym łgarską powieść Gottfrieda Bürgera *Przygody Münchhausena*, której bohater potrafił wyrwać się z bagna, „ciągnąc się za własny harcap ręką”.

Makuszyński i Niziurski ubarwiali mi dni niespokojne, jednak nie-smutne, przed obroną rozprawy doktorskiej. Zostało stąd (z Niziurskiego) natręstwo kawałka poezji kulinarnej, ale nieprzeterminowanej: „Zachodzi słońce nad Wędzarnią krwawo / Słysząc krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży”. Na wykładzie młodopolskim, prowadzonym w porze obiadowej, czasem mi się on przypomina jako świetny, choć nieapetyczny, przykład synestezji.

Dosyć już będzie, bo nudziarstwo na każdy temat drażni jak „krzyk... nieświeży”. Zresztą po wakacyjnych lekturach zaczynam czytanie „z programem”.

Summary

Bogdan Mazan

Questionnaire

When asked about the most important book in his life-long reading experience, Bogdan Mazan selects the Bible. When feeling blue, he chooses the collection *This is the Day the Lord Has Made: 365 Daily Meditations* (*Dziś jest dzień Pański. Rozważania na każdy dzień*, Polish translation by J. Iwaszkiewicz, Poznań 2000) by a Belgian Carmelite and Doctor of Philosophy Wilfrid Stinissen or a book by Henri Brunel, *The Smile of Buddha. Zen Humor* (transl. M. Pluta, Warsaw, 2004); when sad, he also reads Hašek's *Adventures of Good Soldier Svejk*. In hopelessly grim situations, the author recommends to read the novel by Gottfried Burger *The Adventures of Baron Münchhausen*.